

Jak odnaleźć się w świecie polikryzysu?



prof. Mariusz Orłowski

Virginia Tech University, Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego

Świat boryka się dziś z licznymi, równoległe zachodzącymi kryzysami, spośród których wiele ma bezprecedensowy charakter. Są złożone i wzajemne powiązane, przez co trudno jest ustalić ich hierarchię i odpowiednio na nie zareagować. Wiele wskazuje zatem na to, że rzeczywistość, jaką znamy, przechodzi do historii. Co przyniesie nam przyszłość? Jakie skutki może mieć przejście do wielobiegunowego świata? Jaki będzie nowy model globalizacji? Co dalej z amerykańsko-chińskim konfliktem handlowo-technologicznym? Jakie miejsce w „nowym rozdaniu” przypaść może Europie?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor Kongresu Obywatelskiego.

Trudno nie zgodzić się z tezą, że nie tylko Europa, ale i cały świat przechodzi dziś największy kryzys od czasów II wojny światowej. Nie zaprzeczy Pan?

Zdecydowanie nie – powiedziałbym nawet, że najwłaściwszym sformułowaniem oddającym dzisiejszą sytuację jest to, że mamy do czynienia z polikryzysem. Rozumiem przez niego równoległe występowanie przynajmniej kilku poważnych kryzysów czy konfliktów zazębiających się ściśle ze sobą. Co ciekawe, widać tu intrygujące podobieństwa do wydarzeń historycznych sprzed przeszło 100 lat.

Co konkretnie ma Pan na myśli?

Gdy przyglądamy się krajobrazowi współczesnego świata, można zauważyć wiele wspólnych mianowników z burzliwą erą, która rozpoczęła się w 1914 r. Wówczas to końcowi uległa zainicjowana w okolicach 1870 r. pierwsza faza globalizacji. Wybuch I wojny światowej oznaczał początek ostrej deglobalizacji, skutkującej spadkiem światowego handlu o dwie trzecie i zbrojną rywalizację między ówczesnymi potęgami. Proces ten doprowadził do bałkanizacji łańcuchów dostaw, nakładania ceł, licznych wojen handlowych, a w wielu miejscach – również do hiperinflacji. Wszystkie te czynniki doprowadziły w pośredni sposób do kolejnej tragedii w postaci II wojny światowej.

Straszy nas Pan kolejnym globalnym konfliktem?

Konflikt – na Ukrainie – już mamy. I choć z militarne punktu widzenia ma on wymiar regionalny, to jego oddziaływanie jest bezsprzecznie globalne. Wojnę tę postrzegam jako zwiastun walki o władzę pomiędzy istniejącymi i wschodzącymi globalnymi potęgami, takimi jak: Stany Zjednoczone, Chiny, Rosja, Unia Europejska oraz rosnącymi w siłę krajami globalnego Południa, z Indiami na czele. Rywalizacja ta będzie niezwykle złożona i wiele wskazuje na to, że w jej konsekwencji nastąpi transformacja do świata wielobiegunowego, niezdominowanego przez jedną, wiodącą siłę. Będzie się z tym wiązało wiele ryzyk – kto

bowiem w takiej sytuacji będzie ustalał globalne reguły gry? Cała ta sytuacja staje się jeszcze bardziej skomplikowana, mając na uwadze charakter wyzwań, przed którymi stoimy. Wyzwań – dodajmy – w dużej mierze bezprecedensowych.

Wyzwań, będących – jak rozumiem – składowymi wspomnianego przez Pana polikryzysu. Które z nich rysują się jako najważniejsze?

Nie chciałbym ich ustawiać w szeregu od najważniejszych do najmniej ważnych, gdyż wszystkie one są ze sobą w pewien sposób splecione, zazębiane i tak naprawdę dopiero przyszłość ukaże nam ich realną hierarchię.

Pierwszym z nich jest zielona transformacja. Ze względu na postępujące globalne ocieplenie, skutkujące coraz bardziej dotkliwymi zmianami klimatu, los naszej planety jest poważnie zagrożony. Tymczasem jako ludzkość jesteśmy dziś znacznie bardziej skonfliktowani niż kilka lat temu, gdy kilkadziesiąt państw podpisało porozumienie paryskie, deklarując chęć podjęcia aktywnych działań na rzecz ratowania Ziemi. O ile w przeszłości tego typu wysiłki miały charakter co najwyżej regionalny – czego najlepszym przykładem była polityka klimatyczna Unii Europejskiej – o tyle teraz, po raz pierwszy w historii, musi on zostać dokonany globalnie. Będzie to możliwe jedynie wówczas, gdy uda nam się przewyciężyć – jak to nazwał w 2015 r. prezes Bank of England, Mark Carney – „tragedię horyzontu”. A mianowicie – gdy będziemy potrafili przedłożyć długofalowy zrównoważony rozwój nad krótkoterminowe zyski ekonomiczne, społeczne czy polityczne. Warto zauważyć w tym kontekście, że państwom autorytarnym – o ile są zarządzane pragmatycznie i racjonalnie – łatwiej jest uniknąć „tragedii horyzontu” niż państwom demokratycznym.



Czy uda nam się przełamać „tragedię horyzontu” i przedłożyć długofalowy zrównoważony rozwój nad krótkoterminowe zyski ekonomiczne, społeczne czy polityczne?

Kolejne wyzwanie dotyczy skutków gwałtownego – rozpoczętego raptem niespełna pół wieku temu – uprzemysłowienia i wzbogacenia się Chin, których społeczeństwo liczy 1,5 mld mieszkańców. Nigdy wcześniej nie było na naszej planecie tak ludnego narodu, nigdy wcześniej też tak wielkie państwo nie osiągnęło tak szybkiego tempa rozwoju. Warto zastanowić się, jakie – na płaszczyźnie gospodarczej, geopolitycznej, społecznej czy kulturowej – mogą być tego konsekwencje, mając zarazem w pamięci, że niedługo identyczne pytanie będziemy sobie zadawali w odniesieniu do Indii.

Jakie jeszcze wyzwania warto Pana zdaniem podkreślić?

Jednym z nich jest zarysowująca się coraz wyraźniej dedolaryzacja. O ile w przytaczanym 1914 r. globalny handel znajdował się w znacznej mierze pod kontrolą Anglików, a brytyjski funt był kotwicą wszystkich walut na świecie, o tyle obecnie – już od kilkadziesiątu lat – identyczną rolę pełni amerykański dolar. Jego kondycja wydaje się być dziś zagrożona i już niebawem możemy być świadkami rezygnacji z jednej waluty jako dominującej kotwicy dla zachodzących na rynkach międzynarodowych transakcji.

Jeżeli tego byłoby jeszcze mało, stoimy dziś u progu masowej migracji międzykontynentalnej. Nie znamy jeszcze jej potencjalnego zasięgu, jednak może być on bardzo, bardzo szeroki. Obrazy z włoskiej Lampedusy, które widzimy na ekranach naszych smartfonów i telewizorów, są tylko przedsmakiem tego, co może nas czekać. Skala tego zjawiska będzie najprawdopodobniej o wiele większa niż w trakcie kryzysu migracyjnego z 2015 r., z którym zmagala się Europa.

Warto zastanowić się również nad tym, jakie skutki może przynieść fakt, że świat jest dziś zadłużony jak nigdy wcześniej – i mam tu na myśli zarówno bogate państwa Zachodu, jak i kraje słabo rozwinięte. W 1970 r. łączne zadłużenie – obejmujące zadłużenie prywatne, publiczne, rządowe i sektora finansowego – wynosiło 100% rocznego wytwarzanego na świecie PKB. Ponad pół wieku później jest to już 400%. Co gorsza,

wydłużony czas wyjątkowo niskich stóp procentowych podczas globalnego kryzysu finansowego oraz pandemii COVID-19 pozwolił na utrzymanie się niewypłacalnych podmiotów: firm, instytucji, a nawet krajów. Wiele z nich zostało wspartych w imię obrony miejsc pracy czy reindustrializacji, co stwarza ryzyko poważnej recesji, trudności finansowych i stagflacji.

Faktycznie – spore nagromadzenie problemów w czasie...

Ale to dopiero początek „wyliczanki”. Kolejne wyzwanie to *weaponizacja*, czyli „uzbrajanie” coraz to kolejnych płaszczyzn otoczenia społeczno-ekonomicznego. O co w tym chodzi? Aby komuś wyrządzić dziś krzywdę, niekoniecznie trzeba go atakować zbrojnie. W ten sposób dolar służy jako broń wymierzona chociażby w stronę Rosji, której liczne aktywa zostały zamrożone lub skonfiskowane, a ich przepływy – zablokowane. Zatem nie jest więc on wyłącznie wehikułem międzynarodowej wymiany handlowej, ale może być też wykorzystywany do „karania” innych państw.



Jesteśmy dziś świadkami *weaponizacji* coraz to kolejnych płaszczyzn otoczenia społeczno-ekonomicznego, takich jak m.in. waluty, technologie, surowce czy informacje.

Weaponizacja dotyczy także technologii – USA wywierają presję na Unię Europejską, ale też Koreę Południową czy Japonię, by nie wysyłały najnowocześniejszego sprzętu do Chin. Oczywistym obszarem „uzbrajania” są też surowce – broń ta jest wykorzystywana przez wielu aktorów globalnej gry nie od dziś. Wieloletnie „praktyki” ma w tym obszarze – jeśli chodzi o gaz ziemny i ropę naftową – Rosja, a obecnie coraz większej w nim sprawności, w segmencie m.in. metali ziem rzadkich, nabierają Chiny.

Bronią o ogromnej mocy jest też informacja – słuchamy o wojnie na Ukrainie i tak naprawdę nie wiemy do końca, co się tam dzieje, gdyż każda ze stron i popierające je bloki przedstawiają wydarzenia w inny sposób. Celem jest zbudowanie własnego morale, ale i uderzenie w przeciwnika. Nie od razu wiadomo, której narracji bliżej jest do prawdy. Czasem dopiero po kilku tygodniach albo miesiącach wyłania nam się prawdziwy obraz, a czasem nie poznajemy go nigdy.

W poradzeniu sobie z tymi wyzwaniami nie będzie pomagał fakt, że z wieloma spośród nich musimy się zmierzyć po raz pierwszy. Nie możemy zatem wzorować się na wcześniejszych doświadczeniach...

Zdecydowanie. Najlepszym przykładem jest to, że całe instrumentarium teorii ekonomicznych legło w gruzach. Łatwość, z jaką teoretyczne podstawy gospodarek rynkowych i wolnego handlu są porzucane na rzecz haseł, takich jak: bezpieczeństwo narodowe, *nearshoring*, *friendshoring* czy *derisking*, sama w sobie stanowi ogromne wyzwanie dla tradycyjnych paradygmatów ekonomicznych. Jako ludzkość po raz pierwszy stawiamy czoła problemom o tak globalnym charakterze.



Łatwość, z jaką teoretyczne podstawy gospodarek rynkowych i wolnego handlu są porzucane na rzecz haseł, takich jak: bezpieczeństwo narodowe, *nearshoring*, *friendshoring* czy *derisking*, sama w sobie stanowi ogromne wyzwanie dla tradycyjnych paradygmatów ekonomicznych.

Wszystko to sprawia, że nasz świat balansuje na krawędzi rozprężenia i bezwładu. Niczym rozciągnięta elastyczna taśma może on przez pewien czas tolerować różnego rodzaju naprężenia, jednakże w pewnym momencie może nastąpić nagłe pęknięcie, które przyniesie bardzo poważne i niezwykle trudne do przewidzenia skutki.

Wydaje się, że na pewnych płaszczyznach takie pęknięcia już nastąpiły, bo jak inaczej określić ogromne zmiany dotyczące globalizacji?

Widać już dziś, że nastąpił kres modelu globalizacji, który miał miejsce w latach 1990–2020. Jego skrawki będą się utrzymywały jedynie w skali regionalnej – w blokach zaprzyjaźnionych czy sprzymierzonych ze sobą państw. Choć nawet owa regionalna globalizacja będzie posiadała odrębne cechy względem jej wcześniejszej iteracji. Spójrzmy chociażby na Unię Europejską, czyli grupę zżytych ze sobą, blisko współpracujących państw. W istocie nie jest ona jednak samodzielnym podmiotem politycznym, lecz zlepkiem rozmaitych krajów, z których każdy posiada mniej lub bardziej różne od siebie interesy. Dbając o ich realizację, nieraz potrafią – wbrew ustalonym „regułom gry” – zaingerować w leżący u podstaw UE wolny rynek w imię własnych korzyści.

Jeśli natomiast chodzi o relacje zachodzące pomiędzy poszczególnymi regionami – tu już nikt nie stwarza pozorów, że wchodzimy w erę deglobalizacji. Co więcej, jak wspominałem na początku, transformacja ta zachodzi równoległe z trudnym przejściem od jedno- do wielobiegunowego porządku świata.

A wydawało się, że wraz z dynamicznym rozwojem technologicznym, „skracającym” odległości między poszczególnymi państwami, pozwalającym na wygodne dokonywanie transakcji w każdym czasie, nic już nie zatrzyma postępującej globalizacji...

Technologia faktycznie nadal stanowi doskonały „smar” globalizacji – środki telekomunikacji i cyfryzacja sprzyjają budowaniu kolejnych powiązań. Można też argumentować, że postęp globalizacji następował niejako równoległe z naturalnym postępem rozwoju ludzkości, którego owocem były rosnące współzależności, relacje, dzielenie się informacjami i wiedzą na całym świecie.

Na nic to się jednak nie zda w sytuacji, w której silnik całego tego procesu – w postaci USA – odmawia dalszej pracy. To właśnie Stany Zjednoczone były autorem dotychczasowego modelu globalizacji, która była postrzegana jako wręcz historyczna nieuchronność. Francis Fukuyama w swojej książce pt. „Koniec historii” teoretyzował, że w momencie, gdy rdzeń zaawansowanych cywilizacji konfrontuje się z mniej rozwiniętymi peryferiami, ostatecznie rozszerzając się i podporządkowując je sobie, historia osiąga swój punkt kulminacyjny i w tym punkcie jakoby się zatrzyma.

”

Technologia stanowi doskonały „smar” globalizacji – środki telekomunikacji i cyfryzacja sprzyjają budowaniu kolejnych powiązań. Na nic to się jednak nie zda w sytuacji, w której silnik całego tego procesu – w postaci USA – odmawia dalszej pracy.

I tak też, przez kilka dekad ewolucja globalizacji była zakotwiczona w sztywnej hierarchii narodów z USA zajmującymi najwyższy jej szczebel. Forma ta dobiegła końca, gdy okazało się, że Waszyngton przestaje być jej największym beneficjentem, a stworzony przezeń mechanizm daje doskonałe pole do dalszego rozwoju dla Chin, a także – na mniejszą skalę – dla państw takich jak Niemcy, a nawet Polska.

Ekspansja najbardziej rozwiniętego „rdzenia” na słabiej rozwinięte peryferia wymaga zatem ponownej oceny. Czym nowa faza globalnego porządku będzie się różniła od poprzedniej?

Poprzednia faza globalizacji obejmowała w największym stopniu obszary takie jak: rynek pracy, usługi finansowe oraz możliwości produkcyjne. Chiny są nadal zainteresowane kontynuacją tej formy globalizacji i wolnego handlu. Z kolei wyłaniający się dziś nowy etap tego procesu po stronie Zachodu będzie w większym stopniu sterowany przez elementy społeczne, zieloną transformację, współpracę transgraniczną. Siłą napędową poprzedniego modelu była swoboda prowadzenia handlu oraz poszukiwania optymalizacji kosztowej. W nowej erze możemy się spodziewać wzrostu protekcjonizmu, a także priorytetowego traktowania sprawiedliwości społecznej oraz sprawiedliwego handlu między regionami świata – egalitaryzm społeczny i gospodarczy stać będzie w wielu regionach świata ponad wolnością.

Owo przesunięcie akcentów nie tylko wpłynie na redystrybucję bogactwa w obrębie narodów i pomiędzy narodami, ale będzie miało także znaczące – wewnętrzne i zewnętrzne – konsekwencje polityczne. Równocześnie wzrośnie potrzeba rozwoju nowych instytucji, globalnych organów zarządzających i systemów gospodarczych. Transformacja ta nie wydarzy się jednak nagle – będzie zachodziła przez dłuższy i być może burzliwy czas, prowadząc do powstawania doraźnych koalicji między krajami posiadającymi w danym czasie wspólne interesy.

Przyznam szczerze – nakreślony przez Pana model brzmi dość utopijnie, szczególnie mając na uwadze kwestie dotyczące zielonej transformacji czy sprawiedliwszej redystrybucji bogactwa. Z tego opisu wyłania się wręcz model, w którym dotychczasowa, „brudna”, bazująca na bogaceniu się bogatszych kosztem biedniejszych globalizacja jest zastępowana przez bardziej szlachetną jej wersję. A przecież najprawdopodobniej czeka nas era skonsolidowanych bloków handlowo-gospodarczych, niekoniecznie przyjaźnie wobec siebie nastawionych. Tymczasem jeszcze kilka lat temu – przed wojną na Ukrainie, wybuchem pandemii czy amerykańsko-chińskim konfliktem handlowym – nie było niczego zaskakującego w relacjach biznesowych między podmiotami z USA a z Rosji czy z Państwa Środka...

Faktycznie, mając na uwadze obecne podziały polityczne czy geopolityczne, nowy model będzie z pewnością sfragmentaryzowany. Spodziewam się powstania bloku chińskiego, w którym będzie dominowała tamtejsza technologia, podobnie jak bloku atlantyckiego, przypuszczalnie nadal łączącego Stany Zjednoczone z Europą, dodając do tego Koreę Południową, Japonię czy Australię. Wielką niewiadomą pozostaje rola państw, takich jak: Indie, Brazylia, Rosja, jak również całego kontynentu afrykańskiego. Nie zapominajmy też o rosnącej sile Indonezji, której liczba ludności zbliża się do 300 mln, a także o krajach arabskich. Niewykluczone, że początkowo te gospodarki znajdują się pod chińskim parasolem, jednak wraz z ich postępowaniem gospodarczym i rosnącymi ambicjami, będą mogły one dążyć do wytyczenia nowych linii demarkacyjnych i tworzenia nowego bądź nowych bloków.

Nawiązując do Pańskich wątpliwości – teza, że podczas kolejnej fali globalizacji w świecie Zachodu duża waga będzie przykładana do obszarów, takich jak zielona energia czy niskoemisyjność nie wydaje się być kontrowersyjna. Najlepszym na to dowodem jest unijna strategia Europejskiego Zielonego Ładu wraz z całym szeregiem idących za nią regulacji prawnych. Nie wykluczajmy jednak, że i w tym zakresie mogą zajść znaczne zmiany, jeżeli okaże się, że zubożenie społeczeństw europejskich spowoduje fale protestów.

Spodziewa się Pan, że w bloku zachodnim będziemy mieli również do czynienia z bardziej sprawiedliwym handlem?

Obawiam się, że nie. Spodziewam się bowiem, że będzie on funkcjonował pod dyktando amerykańskiej wizji i amerykańskich technologii. Chyba, że Europa znajdzie siły na to, by się Amerykanom postawić. W tej chwili wydaje mi się to jednak dość wątpliwe, a najlepszy tego przykład stanowi przepaść technologiczna między USA a UE, szczególnie widoczna w obszarze cyfrowych technologii, w tym przede wszystkim jeśli chodzi o sztuczną inteligencję.

Wiele wskazuje natomiast na to, że znacznie bardziej egalitarny model globalizacji będzie miał miejsce w pozostałej części świata, gdzie obecność kilku potęg – lub wschodzących potęg – w postaci Chin, Indii, Indonezji, Rosji czy Brazylii, ale też chociażby Filipin czy Malezji, może w istocie doprowadzić do ich wzajemnego równoważenia się, a co za tym idzie – bardziej sprawiedliwych, wyrównanych relacji handlowych. W interesie ich wszystkich leży dążenie do wielobiegunowego świata, wyzwolonego spod dominacji USA.

Domyślam się też, że w nadchodzących latach możemy spodziewać się kontynuacji wojny technologiczno-gospodarczej między Stanami Zjednoczonymi a Chinami...

W moim odczuciu spór ten nadal eskaluje, nasila się z miesiąca na miesiąc, a czarnego scenariusza w postaci konfliktu zbrojnego z Tajwanem, jako jego punktem zapalnym, nie można niestety wykluczyć. Pragnący utrzymać swoją globalną dominację Waszyngton, nie spuszcza ani przez chwilę oka z Pekinu i nie można się temu dziwić. Pomimo spowolnienia gospodarczego, Państwo Środka nadal rośnie w tempie trzykrotnie szybszym od amerykańskiego. Chińczycy „przegonili” już Amerykanów w obszarze produkcji, jednak nadal pozostają w tyle w zakresie zaawansowanych technologii, w szczególności dotyczących chipów

półprzewodnikowych, stanowiących kamień węgielny nowoczesnego przemysłu i zastosowań militarnych. Dążeniem USA jest to, by chińskie przedsiębiorstwa pod żadnym pozorem nie uzyskały dostępu do najbardziej zaawansowanych rozwiązań technologicznych w tym obszarze.



Amerykańsko-chiński spór nadal eskaluje, nasila się z miesiąca na miesiąc, a czarnego scenariusza w postaci konfliktu zbrojnego z Tajwanem, jako jego punktem zapalnym, nie można niestety wykluczyć.

Jak właściwie rysuje się globalna „morfologia” analizowanego segmentu gospodarki?

Branża chipów półprzewodnikowych obejmuje trzy podstawowe gałęzie: projektowanie obwodów, wytwarzanie sprzętu do produkcji półprzewodników oraz fizyczną produkcję najnowocześniejszych mikroprocesorów. W każdym z nich globalny prym wiedzie raptem garstka firm. W pierwszym z nich liderami są przedsiębiorstwa amerykańskie, w drugim, oprócz firm zza Oceanu, silna jest pozycja podmiotów japońskich i holenderskich. Z kolei w branży produkcyjnej przodują producenci z Tajwanu (TSMC) i Korei Południowej (Samsung), a dopiero za nimi plasuje się amerykański Intel.

Warto mieć na uwadze, że TSMC odpowiada aż za 95% światowej produkcji najwyższej klasy procesorów, wykorzystywanych w obszarach sztucznej inteligencji czy technologii militarnych, co czyni Tajwan niezbędnym aktorem globalnej „układanki” gospodarczej. O tym, jak kluczowe jest jego znaczenie, najlepiej dowodzą słowa jednego z amerykańskich senatorów, który zasugerował, że gdyby Chiny miały zająć Tajwan, Stany Zjednoczone nie miałyby innego wyjścia, jak tylko zrównać z ziemią wszystkie zakłady TSMC.



TSMC odpowiada aż za 95% światowej produkcji najwyższej klasy procesorów, wykorzystywanych w obszarach sztucznej inteligencji czy technologii militarnych, co czyni Tajwan niezbędnym aktorem globalnej „układanki” gospodarczej.

Jak daleko za światowymi liderami z branży półprzewodników są obecnie chińskie przedsiębiorstwa?

Nadal trochę im jeszcze brakuje, jednak udaje im się nadganiać liderów wszystkich trzech opisanych wyżej segmentów w bardzo szybkim tempie. Według niektórych badań, Chińczycy inwestują w badania nad półprzewodnikami tyle, co cały świat zachodni razem wzięty. Już teraz Chiny są największym na świecie rynkiem chipów półprzewodnikowych, a jakość oraz zaawansowanie technologiczne wytwarzanych przez nich mikroprocesorów cały czas idą do góry.

Najlepszym tego przykładem jest sierpniowa premiera najnowszego smartfona marki Huawei – Mate 60 Pro, wyposażonego w nowy procesor Kirin 9000. Jak się okazało, został on wyprodukowany przy użyciu technologii 14nm, czyli poziomu zaawansowania technologicznego, którego Amerykanie się absolutnie po Chińczykach nie spodziewali. Choć może nie jest to najnowsza w skali świata technologia, to jednak znajduje się już niezwykle blisko najbardziej innowacyjnej technologii TSMC rzędu 7 nm.

Wyobraźmy sobie, że spełni się najczarniejszy dla USA sen i Chiny nadrobią zaległości technologiczne w branży półprzewodników, a nawet więcej – to one staną się jej liderami. Czy to, czego tak bardzo boją się Amerykanie, może faktycznie mieć tak groźne konsekwencje?

Dla USA na pewno tak, bo taki stan rzeczy przypieczętowałby bezapelacyjnie koniec świata unipolarnego. Ale demonizacja chińskiej dominacji jest, moim zdaniem, pod wieloma względami, przesadzona, przypomina znaną nam z historii narrację o „żółtym niebezpieczeństwie”. Prawdą jest, że Chiny są potężną gospodarką,

której siła może w nadchodzących latach dalej rosnać. Jednakże wzrost ten będzie równoważony dynamicznym rozwojem Indii, Indonezji, Brazylii, Republiki Południowej Afryki, Egiptu czy Nigerii, nie wspominając nawet o obecnych potęgach, czyli Stanach Zjednoczonych i Unii Europejskiej.



Widmo chińskiej dominacji stanowi pod wieloma względami przesadną narrację przypominającą historyczne obawy przed „żółtym niebezpieczeństwem”. Wzrost gospodarczy Chin będzie bowiem równoważony dynamicznym rozwojem Indii, Indonezji, Brazylii, RPA, Egiptu czy Nigerii, nie wspominając nawet o obecnych potęgach, czyli USA i UE.

Jestem przekonany, że wyzwaniem na nadchodzące dziesięciolecie jest znalezienie sposobu na zrównoważenie tych ośrodków i ustanowienie możliwie stabilnych i sprawiedliwych relacji gospodarczych, które przyniosą korzyści wszystkim uczestnikom, doprowadzając do likwidacji głodu i skrajnej biedy na całym świecie. Takie podejście wydaje się być bardziej obiecujące niż obecne amerykańskie próby wykołobienia chińskiej gospodarki, które koniec końców mogą przecież spełznąć na niczym. Nie zmienia to faktu, że „święte” wręcz dotąd reguły handlowe i ekonomiczne, w obliczu rywalizacji technologicznej, przeszły do annałów.

Ciekawe jest jednak, że jak na razie Amerykanie ani myślą schodzić z tej drogi. Nie przeszkodziło w tym nawet zastąpienie Donalda Trumpa przez Joe Bidena na stanowisku prezydenta.

Wojna technologiczna z Chinami została zapoczątkowana przez prezydenta Trumpa, który był przerażony tym, że USA zaczynają tracić na globalizacji, że jej głównym beneficjentem staje się Pekin, że w Stanach nastąpiła deindustrializacja, a po drugiej stronie Pacyfiku rozwija się w najlepsze „fabryka świata”. Najbardziej niepokoił go wymiar *stricte* ekonomiczny. Szok technologiczny urzeczywistnił się w szerszej świadomości publicznej na dobre podczas kadencji Bidena, kiedy zauważono, że rozwijający swój własny przemysł półprzewodnikowy Chińczycy już niebawem będą mogli tworzyć procesory zdolne do aplikacji w rozwiązaniach z obszaru sztucznej inteligencji, a także rozwijać swój potencjał wojskowy. Dziś wojny wygrywa bowiem nie ten, kto ma więcej armat, lecz ten, który ma większą moc obliczeniową i jest w stanie trafić w cel z dokładnością co do centymetra.

Jak natomiast Pana zdaniem rysuje się przyszłość relacji między Stanami Zjednoczonymi a Europą? Wspominał Pan o amerykańskiej dominacji technologicznej i militarnej, jak również o tym, że oczy Amerykanów – pomimo wojny na Ukrainie – są zwrócone przede wszystkim w kierunku Chin i Tajwanu. Czy będziemy mieli potencjał, by być dla Waszyngtonu równorzędnym partnerem?

Unia Europejska, w następstwie konfliktu na Ukrainie, znajduje się dziś w zachwianej sytuacji. Krajobraz gospodarczy, naznaczony powolnym wzrostem i recesją techniczną w Niemczech, rysuje się dość ponuro. Dochodzi do tego wymykający się spod kontroli napływ migrantów, spadający poziom zaufania europejskich społeczeństw wobec rządów, nadal wysoka inflacja oraz przełamanie wieloletniego energetycznego *status quo*, opartego na imporcie ropy naftowej i gazu ziemnego z Rosji, skutkujące bardzo wysokimi cenami energii, a co za tym idzie – spadkiem konkurencyjności europejskich przedsiębiorstw. Trudno by było inaczej, gdy ceny energii są w Niemczech trzy-czterokrotnie wyższe niż w USA. Owe problemy i wyzwania uwypuklają głęboko zakorzenione słabości strukturalne Wspólnoty, która zdaje się dziś dryfować po burzliwych morzach globalnej polityki bez stabilnego steru.

W tym samym czasie Amerykanie starają się wykorzystywać „okazje”, jakie daje im kryzys. A to czerpią zyski ze sprzedaży nośników energii do państw europejskich, a to z dostaw broni – nie tyle do Ukrainy, co do innych krajów UE, które starają się uzupełnić swoje wyczerpane w związku ze wsparciem dla Kijowa

zapasy. Można powiedzieć, że Stanom Zjednoczonym udało się uzależnić od siebie Europę, albo jak kto woli – Europa swoimi podejmowanymi przez lata działaniami uzależniła się od USA. Korzystanie z amerykańskich dostaw energii, technologii oraz ochrony wojskowej sprawia, że UE staje się niebezpiecznie pozbawiona autonomii strategicznej. W dobie kryzysu i niepewności, ze względu na rozbieżne interesy narodowe państw członkowskich oraz brak wspólnej wizji na przyszłość, coraz trudniej jest jej sformułować swoją spójną rolę w globalnej polityce.

”

Korzystanie z amerykańskich dostaw energii, technologii oraz ochrony wojskowej sprawia, że UE staje się niebezpiecznie pozbawiona autonomii strategicznej. W dobie kryzysu i niepewności, ze względu na rozbieżne interesy narodowe państw członkowskich oraz brak wspólnej wizji na przyszłość, coraz trudniej jest jej sformułować swoją spójną rolę w globalnej polityce.

Znajdując się na takiej trajektorii, jesteśmy w stanie być nie tyle partnerem, co satelitą USA?

Mam wątpliwości, czy Unia posiada wewnętrzną zdolność do przekształcenia się w niezależne globalne centrum władzy na świecie, choć takie plany są obecnie lansowane. Obecny skład europejskich elit, jak również zacofanie w obszarze najnowszych technologii oraz niewystarczająca jakoś militarna czyni taki scenariusz wysoce nieprawdopodobnym. Bez USA Stary Kontynent staje się po prostu bezbronny. Jednym z niewielu segmentów rynku, w których nadal utrzymuje pozycję lidera, są dobra luksusowe. Czy Europę stać dziś zatem wyłącznie na konsumpcję?

Zdaje się jednak, że Bruksela opiera rozwój unijnej gospodarki na zielonych technologiach, a w niektórych z nich unijne firmy należą do światowej czołówki.

Jestem tu dość sceptyczny – mam obawę, że w podejściu Europy do zmian klimatu więcej jest idealizmu i zapału ideologicznego niż pragmatyzmu. Mając na uwadze jej skromny, raptem 8-procentowy udział w globalnych emisjach, przyjęcie roli świetlistego rycerza prowadzącego walkę z ociepleniem wydaje się być postawą dzielną, jednak daremną, przypominającą potyczkę Don Kichota z wiatrakami. W niekorzystnym scenariuszu nie dość, że unijne wysiłki nie przyczynią się do przyhamowania zmian klimatu, to jeszcze w dodatku spowodują one straty gospodarcze.

Wcześniej mówił Pan jednak, że zielony rozwój może być spoiwem zachodniego bloku nowej ery globalizacji. Rozwój europejskich technologii w tym obszarze może otworzyć szanse eksportowe dla wielu tutejszych firm przemysłowych – gdyby tak się stało, rachunek ekonomiczny wcale nie musiałby być ostatecznie niekorzystny.

Sukces zielonej transformacji będzie zależał od dwóch krytycznych warunków: posiadania konkurencyjnej technologii oraz zapewnienia jej przystępności cenowej dla konsumentów. Bez ich spełnienia, wprowadzanie inicjatyw w tym obszarze staje się przedsięwzięciem ryzykownym i nieefektywnym. Dlatego też przechodzenie do zerowej emisji netto powinno być procesem przeprowadzanym ostrożnie i stopniowo.

Gdyby patrzeć tylko na troskę o klimat – bez dbania o interesy europejskich firm – unijny rynek zapewne już dawno otworzyłby się szeroko na tańsze, chińskie zielone technologie. Obecny trend jest jednak zupełnie odwrotny.

Zgadza się – troska o klimat troską o klimat, natomiast rachunek ekonomiczny rachunkiem ekonomicznym. To pragmatyczne podejście, któremu nie należy się jednak dziwić – gdyby nie ono, unijny rynek zostałaby niebawem „zalany” chińskimi rozwiązaniami. Tymczasem UE – chcąc bronić interesu europejskich firm

– odchodzi od swoich dotychczasowych zasad ideologicznych, stawiających na piedestale wolny rynek i zieloną energię, starając się utrudnić ekspansję dalekowschodnich, zielonych rozwiązań na Starym Kontynencie.



UE – chcąc bronić interesu europejskich firm – odchodzi od swoich dotychczasowych zasad ideologicznych, stawiających na piedestale wolny rynek i zieloną energię, starając się utrudnić ekspansję dalekowschodnich zielonych rozwiązań na Starym Kontynencie.

Widać to dobrze na przykładzie energetyki solarnej – chińskim producentom paneli słonecznych udało się niedawno drastycznie obniżyć koszty ich produkcji, z około 35 do 15 centów za wat. Mimo że wykorzystanie owej tańszej technologii na unijnym rynku spowodowałoby niewątpliwie przyspieszenie zielonej transformacji, europejskie firmy podniosły alarm. Wzywają one rządy krajowe oraz samą UE do nałożenia ceł na chińskie produkty, argumentując że nie są w stanie konkurować z tak niskimi cenami. Spodziewam się, że dopną one swego i takie restrykcje faktycznie zostaną wprowadzone.

Inny aktualny przykład dotyczy branży samochodów elektrycznych. Z punktu widzenia przeciwdziałania zmianom klimatu, dostępność samochodów elektrycznych do nabycia w przystępnej cenie byłaby czynnikiem bardzo korzystnym. Europejski przemysł motoryzacyjny, z niemieckim na czele, nie wyobraża sobie jednak tego, by ulice Berlina, Paryża czy Warszawy były niebawem zdominowane przez chińskie „elektryki”. Jako że zdobywają one obecnie coraz większy udział na unijnym, w tym również niemieckim rynku, Niemcy rozważają nałożenie na nich karnych ceł w celu ochrony swojego sektora motoryzacyjnego. Głoszone przez nich latami hasła wspierające wolny rynek, a następnie zieloną transformację – w obliczu spadku konkurencyjności własnego przemysłu – straciły na aktualności.

Jak natomiast mogą rysować się przyszłe relacje UE z Rosją – czy Pana zdaniem, po tym wszystkim, co wydarzyło się i nadal się dzieje na Ukrainie, istnieje szansa na to, by ponownie stała się ona ważnym partnerem handlowym Europy? Przejście na zielone źródła energii zajmie jeszcze kilka dekad, a dostęp do rosyjskich surowców energetycznych poprawiłby pozycję konkurencyjną europejskich firm...

Konflikt na Ukrainie kiedyś się skończy i jestem przekonany, że gdy to nastąpi, państwa takie jak Francja czy Niemcy wyciągną swoje ręce w stronę Rosji. Ponowne uruchomienie importu ropy naftowej i gazu ziemnego z tego kierunku przełożyłoby się bowiem z ich perspektywy na znaczne obniżenie cen energii. Poprzez rozbudowę nowoczesnych trakcji kolejowych i drogowych, Rosja jest w stanie również zdynamizować wymianę handlową między UE i Chinami.

To, że scenariusza tego nie należy traktować jako *science-fiction*, najlepiej pokazują wybory polityczne Europejczyków. Zauważmy, że drugą najsilniejszą partią u naszych zachodnich sąsiadów jest jawnie prorosyjska AfD, a wysokie notowania dotyczą także partii Lewicy, która również opowiada się za współpracą z Moskwą. Pomimo więc brutalnej wojny i wszelkich słów dezaprobaty i potępienia wypowiedzianych pod adresem prezydenta Putina, gdy konflikt się zakończy, zupełnie nie zdziwi mnie powrót do relacji *business as usual*. W polityce nie ma bowiem wiecznych przyjaźni i rzeczy niezmiennych, czego najlepiej dowodzi rosnący protekcjonizm gospodarczy ze strony państw, które niedawno były największymi orędownikami wolnego rynku.



W polityce nie ma wiecznych przyjaźni i rzeczy niezmiennych, czego najlepiej dowodzi rosnący protekcjonizm gospodarczy ze strony państw, które niedawno były największymi orędownikami wolnego rynku.

Trudno mi sobie jednak wyobrazić, by do *business as usual* z Rosją mogła wrócić Polska. Jaką strategię geopolityczną powinniśmy zatem Pana zdaniem przyjąć? Wydaje się, że niezmiennie powinniśmy utrzymywać dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, co – samo przez się – wykluczałoby nawiązywanie nadmiernie bliskich relacji z Chinami. Gdzie jeszcze szukać sojuszy?

W nadchodzącym wielobiegunowym świecie powinniśmy prowadzić politykę wielowektorową. Dla przykładu, skierowałbym naszą uwagę w stronę Indii, czyli wschodzącego giganta, który nie jest jeszcze przez nas ekonomicznie i politycznie należycie „zagospodarowany”. Byłby to dość naturalny ruch, w szczególności mając na uwadze, że wiele wskazuje na to, że państwo to, z obecnie największym wzrostem gospodarczym i z potężną kadrą inżynierów i naukowców w zaawansowanych technologiach, jest w stanie niedługo zrównoważyć chińską siłę. Teraz, gdy Indie nie są jeszcze gospodarką tak skonsolidowaną, gdy ich rynek jest otwarty i w wielu segmentach nie do końca zagospodarowany, jest najlepszy moment na to, by sondować możliwości współpracy oraz wspólnych interesów i nawiązywać bliskie relacje gospodarcze. Potrzeba do tego jednak proaktywnych działań z naszej strony – czekając, damy się wyprzedzić innym.

O rozmówcy

Prof. **Mariusz Orłowski** – wykładowca i badacz fizyki półprzewodników Virginia Tech University w Stanach Zjednoczonych. Od 1984 do 2008 r. pracował w przemyśle półprzewodnikowym w firmach Siemens, Motorola, STMicroelectronics i Freescale w USA, Niemczech, Francji i Rosji. Członek Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego.

Partnerzy



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



GDAŃSK

Pomorski Fundusz Rozwoju
sp. z o.o. z siedzibą w Gdańsku



Spółka Samorządu
Województwa Pomorskiego



POLSKO-AMERYKAŃSKA
FUNDACJA WOLNOŚCI

